



KATARZYNA
ENERLICH

Oplątani Mazurami

K A T A R Z Y N A
ENERLICH
Oplątani Mazurami

mg

Copyright © 2011, Katarzyna Enerlich

Wszelkie prawa zastrzeżone. Reprodukowanie, kopiowanie w urządzeniach przetwarzania danych, odtwarzanie w jakiegokolwiek formie oraz wykorzystywanie w wystąpieniach publicznych – również częściowe – tylko za wyłącznym zezwoleniem właściciela praw.

ISBN: 978-83-7779-024-3

Projekt okładki: Maciej Sadowski

Autorka i Wydawnictwo serdecznie dziękują Ryszardowi Bitowtowi i Robertowi Wróblowi z Mrągowa za przedwojenne materiały archiwalne oraz rozmowy, które były inspiracją do kilku opowiadań

Redakcja: MG

Skład i łamanie: Jacek Antoniuk

www.wydawnictwomg.pl

kontakt@wydawnictwomg.pl

Oplątani Mazurami

W posażnym kufrze babci Hildy leżały na równych stertach wykrochmalone obrusy, poszewki na poduszki, pierzyny oraz codzienne fartuchy. Były i rzeczy odświętne, i zwyczajne – położone jedna na drugiej, zasuszone jak liście. Te na dnie – całkiem zapomniane. W kufrze pachniało słodko mydłem i starym drewnem. Tak samo pachną wiekowe drewniane domy, z ukrytymi pod belkami wielkimi pajakami, których szelest słychać tylko w nocy. W ciągu dnia rechwach codzienności tłumi ciche odgłosy tych najmniejszych mieszkańców.

Babcia Hilda szanowała wszystko, czym przez lata obrastała. W podłużnym pudełku trzymała cynowe łyżki z pierwszym symbolem Mazur – smukłym kormoranem wyrzeźbionym na trzonku. Dostała je w prezencie od starych Holendrów, co mieszkali w małym domku nad jeziorem. Holendrzy dawno umarli, a ona wciąż żyła i przekładała te łyżki raz w roku, owijając jak niemowlęta miękką ściereczką. Nigdy ich nie używała, bo przyzwyczała się do starych drewnianych łyżek. Były cieplejsze w dotyku i przede wszystkim lżejsze. To było ważne dla jej powykęcanych reumatyzmem palców.

Na ścianie w kuchni wisiał młynek do pieprzu i kawy, też od tamtych Holendrów. Metalowe mocowanie i mechanizm młynka

z korbką były przytwierdzone na stałe do ściany, a ceramiczny pojemnik można było wysuwać. Na jego przedzie namalowany był niebieski niekształtny wiatrak.

Babcia Hilda lubiła ten młynek – jego przyjemne chrobotanie i zapach tego, co właśnie mielila. Pieprz miał aromat lekko ziemisty, na dodatek łaskotał w nos, a babcia Hilda lubiła kichać. Mówiła, że człowiek oczyszcza się wtedy z tego, co w nim złe. Gdy po pieprzu mielila kawę, przecierała młynek ścierką. Mimo to pierwsza porcja naparu miała lekki posmak pieprzu. Babcia Hilda lubiła te kulinarne eksperymenty i smakowała jej kawa o cierpkim aromacie.

Szanowała wszystko, co sama wypracowała. Plony lata przechowywała w spiżarni, peklowała mięso, suszyła, wędziła. Jednak z największą estymą traktowała płótno. Było jak katolicki Bóg – pod wieloma postaciami: serwet, prześcieradeł, obrusów, koszul czy bandaży. Ale zawsze było tym płótnem, którego utkanie wymagało tyle serca i pracy. Robiła to od wczesnej młodości. Surowy materiał parzyła ługiem, a potem kładła na ciepłą łąkę za domem. Rozpięte na palikach bieleło w słońcu i rosie, a im było bielsze, tym bardziej była dumna ze swojej pracy. Bywało, że we wsi pojawiali się złodzieje i kradli gotowe płótna z bielnika, więc czasem trzeba było pilnować całą noc. Wachtować, jak się wtedy mówiło.

W czasach babci Hildy wszystko było inne. Ludzi oceniało się nie za słowa, ubiór czy sposób bycia. Najważniejsze były czyny, niektóre bardzo przyziemne. Ale ta przyziemność była istotą bytu. Smak kartoflanki czy pulchność niedzielnej kuchy¹

¹ Pruska nazwa ciasta

były tak samo ważne, jak otworzenie w domu zmarłego okien, by ciepła jeszcze dusza opuściła go powoli i bez zbytniego popędzania. Ważne było też, ile koszul dla przyszłego męża uszyło się w panieńskich latach oraz czy zrobiło się to równo i starannie. Z kobiety, której płótno miało splot jak przewrócone żerdzie, żartowano i kpiono. Babcia Hilda była zawsze dokładna – jej płótna były znane na cały Sensburg². Sprzedawała je tam na jarmarkach, a potem wracała do domu z pieniędzmi schowanymi w węzełku z chusteczki. Po powrocie wkładała monety do kufra; z roku na rok robiło się ich coraz więcej.

Gdy babcia Hilda zestarzała się nagle dla niej samej, ludzie we wsi zaczęli mówić o zbliżającej się wojnie w obcym kraju. Nie słuchała tego gadania, bo tamten kraj był daleki; nie można było dojść tam na piechotę.

Nie miała już siły, by prząść na kołowrotku. Na jarmarki zabierał ją czasem stary Busch. Trzęsła się na jego furmance, podskakującej na każdym wyboju. Wyglądała wtedy jak bocian, z tą swoją małą głową na wąskiej długiej szyi. Busch pomagał jej zsiąść z furmanki i zostawiał w miasteczku. Szła przeważnie do lekarza, a potem do apteki „Pod Orłem” przy samym ratuszu. Marzyła, że ktoś wynajdzie wreszcie lekarstwo na starość. „Byleby to było jeszcze za mojego życia” – szeptała te słowa jak modlitwę.

Sierpień trzydziestego dziewiątego zniewolił jej ciało upałami. Nie wychodziła już z domu, czasem tylko siadała

² Przedwojenna nazwa Mrągowa

na drewnianym pogryzionym przez korniki progu. Gdy się zbyt długo zasiedziała, trudno było wstać, bo pozginane kości buntowały się. Z czasem zrezygnowała z przesiadywania na progu i położyła się do łóżka. Sąsiadka, dobra stara Ingrid, zachodziła czasem do niej, przynosiła jedzenie, zamiatła izbę i wynosiła nocnik. Rozmawiały wtedy aż do chłodniejszego przedwieczoru, gdy szara godzina kładła cienie na ogrodzie babci Hildy.

To Ingrid jako pierwsza przyszła wtedy do niej, by powiedzieć, że mężczyźni ze wsi zabierają na wojnę. Zabrali też jej wnuka; żegnała się z nim przy płocie, cała we łzach. Patrzyła za nim długo, jak małał za zakrętem i wyglądał jak śmieszny przecinek. Ingrid tak bardzo chciała opowiedzieć Hildzie, której wnuki były na innym kontynencie, o swoim pożegnaniu. Nie zdążyła. Babcia Hilda umarła w nocy. Nie zerwała już swojej dyni z ogrodu, wielkiej jak księżyc. Nie przewinęła cynowych łyżek. Nie założyła świeżego fartucha. Na gwoździu w sieni zostawiła ten stary, brudny, na którym leniwie drzemały muchy.

Wnukowie, którzy przybyli zza oceanu, zajrzeli tylko do kufra. Przetrzęsnęli jego zawartość i nabałaganili. Poskładane latami obrusy i pościelenie rzucili potem niedbale – leżały tam teraz jak ptaki z rozłożonymi skrzydłami, sposobiące się do lotu. Zabrali tylko tamten węzełek z monetami zbieranymi przez babcię Hildę przez połowę życia. Dziwili się, że tak mało uzbierała. Pochowali zmarłą skromnie, w naprędce skleconej drewnianej skrzynce. Nie otworzyli w jej domu okien i dusza babci Hildy została w nim na wieki. Przedmioty, które zostały po niej, przygarnęła niczym osierocone psy dobra, stara Ingrid.

Czy to duch dawnych Mazur, czy nitki pajęczce tkane przez Czarodziejkę Jezior na olszynowej łódeczce sprawiają, że ludzie zarażają się tą ziemią? Ciężka od legend i prawdziwych historii, nasycona oddechami tych, którzy żyli tu wcześniej, jest jednak zrozumiała dla wszystkich. Język tej ziemi jest prosty, bo brzmi błękitem jezior, ciszą słońca nad gęstym lasem, srogością burz i metalicznym zapachem ostrych zimowych poranków.

Na starym pianinie

Na starym pianinie niewysoki muzyk wygrywał swoją muzyczną opowieść, jakby grał w tajemnicze kości. Druga toczyła się na białym ekranie; mali ludzie w szybszym niż za życia tempie przemierzali czas. Płynął przez to szybciej – w tym ciasnym przedwojennym kinie, w sercu Sensburga, niewielkiego miasteczka na Prusach Wschodnich.

Ludzie wykradali codzienności chwile spędzane przed ekranem. Zostawiali swoją pracę, niedogotowane mięso na ogniu, niewyznane przy Źródółku Miłości uczucia, niewysłaną widokówkę. Przychodzili tu, czując, że przekraczają granicę rzeczywistości, a papierowy bilet był ich paszportem.

Czasem zjawiała się tu również wdowa po sensburskim kupcu. Żyła samotnie w wielkim domu, przy którym przycupnęło drzewo. Z małego supelka gałązek, zasianego przez wiatr, wyrosło na wielki pień z silnymi konarami i wyglądało jak cyrkowy atleta w pasiastym stroju; takiego atletę wdowa widziała na rynku, gdy nie była jeszcze wdową, a małą dziewczynką. Teraz, gdy żałoba po kupcu nie pozwalała na lekkość życia, kino było najlepszą alternatywą. Patrząc na ekran, skutecznie popychała wskazówki tak dłużących się w samotności minut.

Czasem zastanawiała się, do którego kina pójdzie. Bo w miasteczku były dwa. Częściej wybierała Reform-Kino, należące do siwowłosego Pahrola, który miał tańsze bilety i często się uśmiechał. Wdowa przechodziła tylko przez żydowski rynek i już była na miejscu. W Reform-Kino filmy trwały krócej. Mówiło się o nich dumnie i mądrze – krótkometrażowe. Po seansie mogła iść jeszcze na spacer Promenadą, popatrzeć na mężczyzn na łódkach, którzy nieruchomieli na wiele godzin, by nie płoszyć ryb. Byli nieczuli nawet na obecność kobiet przy brzegu, moczących zmęczone upałem łydki w chłodnej wodzie jeziora.

Ale kino Pahrola było ciasne, na plecach czuło się ludzkie oddechy. Panująca w nim duchota przybierała z każdą minutą na sile, a ten niewysoki muzyk, z rozpędzonymi szczupłymi palcami na biało-czarnej klawiaturze, wydawał się prawdziwym złodziejem powietrza, którego wdowie wciąż brakowało. Chodziła tu jeszcze w młodości, gdy nosiła lekkie sukienki i pracowała w eleganckiej restauracji przy rynku.

Wciąż miała w albumie widokówki, na których jest ów lokal i jego nowoczesne wnętrze. To właśnie w restauracji poznała męża i nagle jej codzienność zmieniła się. Małżeństwo, praca, sklepy otwierane w miasteczku, przesyconym wilgocią od jezior i zapachem ryb. To one dawały jej poczucie bezpieczeństwa i prestiż.

A potem powstało nowe kino. Należało do Gutzeita, który wyświetlał filmy tylko w środy, soboty i niedziele. W swojej nazwie miało słowo Sensburg. Kino było nowoczesne. Wewnątrz było jaśniej, bardziej elegancko. Siedzenia wygodniejsze niż te twarde krzesła rozstawiane przez Pahrola, który zazdrościł swojej

konkurencji; do jego Reform-Kino nie przyciągał widzów nawet pianista, przywieziony specjalnie z Królewca. Siwowłósy Pahrol zamawiał coraz nowsze i tańsze filmy; nie kradł ludziom tyle czasu, co tamten Gutzeit swoimi długimi widowiskami, o których mówiło się, że są modne. Ze złością zerkał na tłumy przed nowym kinem; przystawał najczęściej od strony Gartenstrasse³, nieco z boku, by nikt go nie widział. Przestał się tak często uśmiechać.

Wdowa coraz częściej wybierała nowe kino bez muzyka. Przykro jej było patrzeć na starego Pahrola, ale ciekawość była silniejsza. Kiedy po jakimś czasie dowiedziała się, że stary nie wytrzymał konkurencji i wydzierżawił swoje kino rywalowi, pokiwała głową: „Czas najwyższy. Idzie nowe. Trzeba podążać z duchem czasu”.

Szczupły pianista przywieziony z Królewca stracił nagle pracę, bo Gutzeit nie chciał go zatrudniać. Odkupił od właściciela kina pianino. Dzięki temu mógł udzielać prywatnych lekcji; ludzie prowadzali do niego swoje dzieci i mówili o nim: to ten z kina. Dzieci kiwały głowami i myślały o nim jak o kinowym totemie, bo słowa „to ten z kina” nabrały z czasem płynności; stały się jednym wyrazem i brzmiały już jak „totem”. Zrosły się jak szare jezioro Czos z trawiastym brzegiem albo jak muzyk z Królewca z tym sennym miasteczkiem.

Wdowa nękana swoimi dolegliwościami zachorowała na dobre. Niemoc nie pozwalała na wstawanie z łóżka. Przychodziła do niej sąsiadka z rosołem. Kiedyś powiedziała, że gdy człowiek umiera, widzi swoje życie jak film w kinie, tylko puszczonej od

³ Obecna ulica Roosevelta